

Liberalne mity kontra rzeczywistość

21 stycznia 2019

Od początku rządów PiS mało jest tematów równie mocno rozgrzewających emocje, jak uruchomienie programu „Rodzina 500+”. W krajach Europy Zachodniej zapewne nieźle by się zdziwili, że zwykły program polityki społecznej, wart jakieś 6 miliardów euro, może budzić aż tak gigantyczne kontrowersje w kraju tego samego kontynentu. Jednak w polskich warunkach program ten był tak wielką rewolucją, nie tylko materialną, ale bardziej nawet mentalną, że głowę tracili profesorowie uniwersytetów, opowiadając w mediach przeróżne bzdury.

Według profesora Mikołejki matki zostały przekupione przez PiS, czego ma dowodzić 54-procentowe poparcie dla partii rządzącej wśród kobiet w wieku rozrodczym. Kilka lat wcześniej filozof ten pisał w „Wysokich Obcasach”, że „kariery polskich kobiet związane są bardzo często z macicą”, więc teraz musi mu być zapewne bardzo przykro, że wprowadzono stypendium dla tego rodzaju kariery. Polki zbijają niewyobrażalne kokosy na rodzeniu dzieci, a skromny profesor musi na to patrzeć i jeszcze za to płacić.

Mówienie bzdur na wyścigi

Inny wspaniały okaz polskiej elity akademickiej, prof. Andrzej Rzońca, główny ekonomista PO, twierdził w 2016 r., że realizacja obietnic PiS doprowadzi do 100-miliardowego deficytu budżetowego w 2018 roku. Prawdziwy deficyt AD 2018 będzie jakieś pięć razy mniejszy, więc liberał Rzońca powinien dziękować losowi, że pracuje na publicznej uczelni, bo w prywatnej firmie już dawno dostałby zwolnienie za tak „dokładne” analizy.

Wydawało się, że w ostatnim czasie liberałowie nieco zmądrzeli

i pogodzili się z faktem, że ich opinie dotyczące „500+” to były zwykłe dyrdymały. W ostatnim czasie nagle jednak temat „500+” powrócił po wypowiedziach posła PO Jana Grabca, który stwierdził, że odbieranie świadczenia trwale bezrobotnym mogłoby być dobrym pomysłem. Poseł Grabiec chciał się zachować bardzo chrześcijańsku, według biblijnej maksymy „tym, którzy nie mają, będzie odebrane nawet to, co mają”. Skoro ktoś nie ma dochodów z pracy, to trzeba go jeszcze bardziej pognębić, może wtedy zmądrzeje. Jak widać, w liberalnym centrum głęboko zakorzenione jest przeświadczenie, że 1500 zł na trójkę dzieci daje ubogim rodzinom niespotykane możliwości życiowe. Co ciekawe, reprezentanci liberalnego centrum najczęściej żyją za znacznie większe pieniądze, a mimo to wciąż płaczą, że państwo im coś odbiera. Inaczej mówiąc, 1500 zł dla 5-osobowej rodziny to prawdziwy high life i życie jak w Madrycie, ale 10 tys. zł dla trzyosobowej rodziny to już jest bieda z nędzą.

Skoro temat „500+” powrócił na tapetę, warto sprawdzić, jak się mają liberalne mity do rzeczywistości. Przypomnijmy, że według przeciwników świadczenia, miało ono doprowadzić do spadku aktywności zawodowej kobiet, katastrofy budżetowej, a nawet wpędzić dolne grupy decylowe w krąg ubóstwa. Tymczasem wpływ na dzietność Polek i Polaków miał mieć on żaden. Poza tym program ten ma być wybitnie niesprawiedliwy dla samotnych rodziców, gdyż wyklucza ich z świadczenia już na pierwsze dziecko. Trzeba przyznać, że liberałowie dokonali niezwykłego wyczynu, gdyż dokładnie żadne z ich założeń się nie sprawdziło.

Dzietność w górę, ubóstwo w dół

Z wyżej wymienionych obszarów najlepiej zacząć od dzietności – w końcu „500+” to program prorodzinny. Oczywiście rząd często zastrzega, że aspekt socjalny jest równie istotny, co demograficzny, ale brak kryterium dochodowego na drugie i kolejne dziecko wskazuje, że to demografia w większej mierze skłoniła rządzących do uruchomienia programu, a nie ubóstwo. W

2015 roku polski wskaźnik dzietności wynosił 1,32, co było przedostatnim wynikiem w UE. Minimalnie gorzej było jedynie w Portugalii. Już w 2016, pierwszym niepełnym roku funkcjonowania programu, wskaźnik dzietności nad Wisłą wzrósł do 1,39, co pozwoliło nam wyprzedzić jeszcze Włochy, Hiszpanię, Grecję, Cypr i Maltę. Według danych GUS, w 2017 r. wskaźnik dzietności znów wzrósł, tym razem do 1,45, co według danych z 2016 pozwoliłoby nam wyprzedzić jeszcze Chorwację i Luksemburg (zbiorczych danych za 2017 dla całej UE Eurostat jeszcze nie podaje).

Zatem pod względem wskaźnika dzietności w dwa lata wyrwaliśmy się z samego dna UE i ułokowaliśmy się nieco bliżej środka (19 miejsce na 27 krajów, czyli bez Wielkiej Brytanii). Co więcej, ten wzrost był bez wątpienia zasługą „500+”, bo według komunikatu GUS za wzrost liczby urodzeń w 2017 r. odpowiadały przede wszystkim drugie, trzecie i kolejne urodzenia w rodzinie. A to właśnie na drugie i kolejne dzieci przysługuje świadczenie. Oczywiście 1,45 to wciąż sporo poniżej poziomu niezbędnego do pełnej reprodukcji pokoleń, jednak jak na dwa lata to wynik przynajmniej przyzwoity.

Skoro „500+” ma także charakter socjalny, to rozliczać go trzeba również z zasięgu ubóstwa w Polsce. Jest to tym łatwiejsze, że wpływ „500+” na ubóstwo widać dużo szybciej, w przeciwieństwie do dzietności. Ubóstwo mierzy się poziomem wydatków gospodarstw domowych, więc dodatkowe dochody powinny się szybko przełożyć na ich wydatki. Oczywiście też nie od razu, bo wiele rodzin do tej pory żyjących z dnia na dzień może zechcieć wykorzystać świadczenie na przykład na zbudowanie sobie poduszki bezpieczeństwa na przyszłość. Spadek ubóstwa od roku 2015 jest bardzo duży. Już w 2016 roku zasięg ubóstwa skrajnego (odsetek gospodarstw domowych żyjących poniżej minimum egzystencji) spadł z 6,5 proc. do 4,9 proc. Inaczej mówiąc, w zaledwie rok Polska ograniczyła zasięg skrajnego ubóstwa o jedną czwartą. Nigdy wcześniej nie zanotowaliśmy takiego spadku. Od 2008 do 2014 zasięg skrajnego

ubóstwa nieustannie rósł, pomimo wzrostu gospodarczego, a w 2015 r. po raz pierwszy spadł, ale tylko o 12 proc. (z 7,4 do 6,5 proc.). Tak znaczący jednoroczny spadek, jaki miał miejsce w 2016, w oczywisty sposób musi być związany z uruchomieniem dużego jak na Polskę programu społecznego. W 2017 roku zanotowaliśmy kolejny spadek skrajnego ubóstwa, teraz już jednak mniejszy, do 4,3 proc.

Związek „500+” z ograniczeniem zasięgu ubóstwa jest jeszcze bardziej oczywisty, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że wśród małżeństw najbardziej spadło ubóstwo w rodzinach z dwójką lub więcej dzieci. Ale, co ciekawe, najbardziej spadło ubóstwo wśród... samotnych rodziców. W latach 2015-2017 r. zasięg ubóstwa wśród singli z dziećmi spadł z 6,5 do 2,5 proc., czyli o prawie dwie trzecie. Tymczasem według liberalnych mitów, to właśnie samotni rodzice są szczególnie poszkodowani „500+”. Jak to wygląda na tle Europy? Eurostat podaje poziom zagrożenia ubóstwem, który jest siłą rzeczy wyższy. W latach 2015-2017 odsetek Polek i Polaków zagrożonych ubóstwem spadł z 23,4 proc. do 19,5 proc. Był to... najwyższy spadek ze wszystkich krajów UE. Jeszcze w 2015 r. poziom zagrożenia ubóstwem w Polsce był bliski średniej UE, obecnie jest już niższy od niej o 3 pkt. procentowe.

Marchewka zamiast kija

Spadek ubóstwa w Polsce i wzrost dochodów najuboższych gospodarstw domowych wpłynął na wyraźne ograniczenie polskich nierówności. Już w 2016 r. wskaźnik Giniego spadł nad Wisłą z 30,6 do 29,8. Oczywiście również był to największy jednoroczny spadek nierówności dochodowych w III RP – trudno uznać to za przypadek. W ubiegłym roku Gini znów spadł, tym razem do 29,2. Średnia unijna jest o ponad punkt wyższa. Obecne nierówności w Polsce liczone wskaźnikiem Giniego są na poziomie Francji i Niemiec. Co ciekawe, na horyzoncie widać już Szwecję (Gini 28), choć to przede wszystkim efekt tego, że szwedzkie nierówności bardzo szybko w ostatnich latach rosną. Niestety

Szwecja przestała już być egalitarnym rajem i pod tym względem wyprzedzają ją nie tylko najbardziej egalitarne w Europie kraje słowiańskie (Czechy, Słowacja i Słowenia) oraz pozostałe kraje nordyckie, ale nawet kraje Beneluksu i Austria.

Spadek nierówności widać także w pozostałych wskaźnikach. Pokazuje to chociażby podawany przez GUS dochód rozporządzalny gospodarstw domowych z podziałem na grupy kwintylowe. Dochód rozporządzalny rodzin należących do 20 proc. najuboższych wzrósł w okresie 2015-2017 o prawie połowę (z 457 zł na głowę do 655 zł), tymczasem dochód górnych 20 proc. wzrósł jedynie o 9 procent (z 2824 zł do 3084 zł). Absolutnie nie chcę przez to powiedzieć, że poziom nierówności jest obecnie w Polsce satysfakcjonujący – jednak wpływ „500+” na wyraźny spadek nierówności jest niezaprzeczalny. Bo trudno to uznać za zbieg okoliczności.

„500+” miało też doprowadzić do spadku aktywności zawodowej kobiet. Program ruszył w kwietniu 2016 r. W drugim kwartale 2016 r. aktywność zawodowa kobiet powyżej 15. roku życia wynosiła 48,4 proc. Na koniec drugiego kwartału 2018 roku wyniosła 48,8 proc. Aktywność kobiet zatem nie tylko nie spadła, ale nawet wzrosła bardziej niż u mężczyzn (u nich wzrost z 64,7 do 64,9). A przecież oprócz „500+” obniżono wiek emerytalny kobiet do 60. roku życia. Według Eurostatu aktywność zawodowa kobiet w wieku produkcyjnym (15-64 lata) w latach 2015-2017 wzrosła z 61,4 do 62,6, czyli rosła nawet troszkę szybciej niż średnia unijna. Oczywiście aktywność zawodowa kobiet w Polsce wciąż jest zbyt niska (średnia UE to 67,8 proc.), ale to efekt wieloletnich zaniedbań w polityce społecznej (np. dopiero od niedawna szybko rośnie liczba miejsc w żłobkach), a nie „500+”. Dość powiedzieć, że jeszcze w 2008 roku aktywność zawodowa Polek w wieku produkcyjnym wynosiła zaledwie 57 procent...

Zresztą najświeższe dane pokazują, że Polki i Polacy coraz częściej decydują się wracać na rynek pracy. W III kwartale 2018 roku równocześnie wzrosło nieco bezrobocie, z 3,6 proc.

do 3,8 proc., oraz aktywność zawodowa, z 56,5 do 56,8 proc. Wzrost bezrobocia wynika nie z utraty pracy przez zatrudnionych, lecz z powrotu na rynek pracy osób wcześniej biernych zawodowo, które decydują się znów zarejestrować w UP. Jak widać, biernych zawodowo Polaków nie trzeba koniecznie brać głodem, jak marzy sobie poseł Grabiec – gdy warunki na rynku pracy się poprawiają, sami decydują się na niego wrócić.

Zmiana mentalna

A jak się sprawdziły przewidywania liberałów dotyczące katastrofy budżetowej i drugiej Grecji? Tak samo jak pozostałe. W 2015 roku dług publiczny w Polsce wynosił 51,3 proc. PKB. Na koniec 2017 roku wyniósł 50,6 proc. Czyli zamiast katastrofy mamy ograniczenie polskiego zadłużenia. Wynika to głównie z szybkiego wzrostu gospodarczego, napędzanego w dużej mierze konsumpcją. Sprawdziły się teorie, według których działania propopytowe po pewnym czasie same się zwracają, gdyż napędzają gospodarkę. Oczywiście teorie te w liberalnym centrum to zwykłe herezje. Według zapowiedzi Ministerstwa Finansów, deficyt w 2018 roku wyniesie jedynie połowę zakładanego, czyli ok. 20 mld zł. Przypomnijmy, że prof. Rzońca „oszacował” go na 100 miliardów. Przy 5-procentowym wzroście gospodarczym oznacza to, że dług publiczny w Polsce znów spadnie, tym razem już poniżej 50 proc.

Program „Rodzina 500+” oczywiście nie jest pozbawiony wad. Przede wszystkim należałoby zmodyfikować próg dochodowy na pierwsze dziecko tak, by po jego przekroczeniu traciło się jedynie część świadczenia odpowiadającą tej nadwyżce, a nie całość (tzw. złotówka za złotówkę). Poza tym w przyszłości należałoby rozszerzyć go na wszystkie dzieci, także te pierwsze w rodzinie. Nie zmienia to faktu, że dotychczasowe jego rezultaty są więcej niż satysfakcjonujące – ograniczył on ubóstwo oraz nierówności, a także pozytywnie wpłynął na wskaźnik diety. No i przede wszystkim przyzwyczaił

polskie społeczeństwo do tego, że państwo prowadzi aktywną politykę społeczną. A to być może jego największa zaleta, bo będzie procentować w przyszłości kolejnymi programami. To także dzięki realnym efektom „500+” przychylności polskich wyborców nie będzie można już sobie łatwo zapewnić dyrdymałami o odchudzaniu państwa – teraz trzeba będzie im pokazać, że ma się pomysł na rozwiązywanie problemów społecznych.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: NowyObywatel.pl